

Mój 5-letni podopieczny uwielbia zasypywać mnie pytaniami, które zwykle sprawiają, że mocno frasuję się nad odpowiedzią z dwojakich względów: primo – nie potrafię jej udzielić w sposób przystępny dla dziecka, secundo – często sama jej nie znam. Zaczyna się niewinnie: „kto to jest mąż?”, „dlaczego moja mama nie jest Maryją, a ja Jezuskiem?”. Bywa, że podnosi poprzeczkę: „dlaczego Bóg nie zabije szatana, skoro on jest zły?”, „czym jest miłość?”, „czym jest śmierć?”. Szczególnie ostatnie dręczące Stasia zagadnienie doprowadziło mnie do pewnych obserwacji, którymi pragnę się z Wami podzielić. Otóż mimo wszelkich mych starań, by w sposób prosty a błyskotliwy zaspokoić jego ciekawość, Stasio wciąż „nie łapie”. Postaci w jego zabawach giną, po czym natychmiast zmartwychwstają, zdarzyło się też raz, że żołnierz „zachorował na urwanie głowy” i nie mam tu na myśli przenośnego znaczenia tego zwrotu, plastikowa głowa po prostu się ułamała. Jak wiadomo, żołnierze to twardzi faceci, więc i ten się wyleczył. Wszystko to prowadzi jednak do wniosku, że Staś nie zdaje sobie sprawy z DEFINITYWNOŚCI śmierci. Kiedy w takim razie zaczynamy sobie zdawać sprawę, że życie nie jest niczym stałym, pewnym?

Niezwykły fenomen stanowi dla mnie paradoks, jakim jest fakt, że śmierć, towarzysząca homo sapiens od 200 – 150 tysięcy lat, ciągle pozostaje dla niego niespodzianką, wiąże się z zaskoczeniem. Oczywiście nie zawsze dzieje się to z tą samą intensywnością – przypomnijmy sobie średniowiecze, które dziś nazywamy kulturą śmierci. Wyrosłe na gruncie chrześcijaństwa przekonanie, że nieuchronność zgonu powinna być źródłem radości i nadziei na wieczne połączenie z Bogiem, obfitowało w liczne przełożenia tej idei na papier bądź płótno. Stąd mnogość traktatów z silnie zaakcentowaną postawą pogardy dla świata oraz praktycznymi wskazówkami dla umierających, które zbierano w podręczniki sztuki dobrego umierania, cieszące się w zachodniej Europie ogromną popularnością. Istne trzęsienie ziemi, erupcję wulkanu i huragan Katrina przyniosło dla kształtowanej dotąd w duchu katolicyzmu ludzkiej mentalności dopiero oświecenie. Kartezjańskie *cogito, ergo sum* zerwało z tradycją, w której wszystko było interpretowane przez pryzmat Bożej nauki; człowiek został sam jako twórca własnych dziejów i sam jako ten, kto stanowi o tym, co jest dobre, a co złe. Oświecona myśl europejska pozbywając się prawdy o Chrystusie, Bogu-Człowieku, który umarł i zmartwychwstał, nabyła w zamian załączek nowej choroby, będącej rakiem XX i XI wieku: lęk przed śmiercią. Bohaterka *Granicy* Zofii Nałkowskiej, Cecylia Kolichowska, mawiała: *Wszystkiego bym się spodziewała, ale tego, że się zestarzeję, to nigdy!* Czy właśnie nie takie myślenie jest charakterystyczne dla niemalże każdego współczesnego człowieka?

Na podstawie obserwacji dzieci, swoich własnych doświadczeń oraz świadectw osób będących dla mnie autorytetami, pozwolę sobie wyróżnić trzy etapy osvajania śmierci. Każdy z nas zaczyna od zera: obecnie Staś, kiedyś ja i Ty, w przyszłości nasi potomkowie, o ile już ich czytelniku nie masz – każda ludzka jednostka nurza się w pustce, dopiero z czasem nabierając odpowiedniego szlif. Nim dowiadujemy się, że śmierć to nie przelewki, jesteśmy jeszcze „nieskalani śmiertelnością”. Nie chcę bynajmniej przez to powiedzieć, że nic nas wtedy nie może zabić; mam na myśli nie odcisnięte jeszcze na naszej „tabuli rasie” piętno bycia śmiertelnikiem. Spójrzmy prawdzie w oczy, świadomość śmiertelności to NIEWYOBRAŻALNY ciężar, wpuszczający w ukryciu swój jad do fiolek nawet z najpiękniejszymi momentami naszego życia. To ciężar, który podszywa trucizną każdą sekundę Twojego jestestwa, uświadamiając Ci jego ograniczoność.

Warto zaznaczyć, że czas nadejścia kolejnych etapów to kwestia indywidualna. Osobiście pamiętam dobrze z pozoru banalne wydarzenie, które wstrząsnęło całym moim wówczas dziesięcioletnim światem. Wracałam ze szkoły tą samą trasą co zwykle, patrzyłam na te same widoki co zawsze, jednak

zdecydowanie nie był to dzień jak każdy inny – wtedy po raz pierwszy spojrzałam na rzeczywistość świadomymi oczyma. Poruszające się z prędkością tornada myśli wirowały, porywając do swojego leja bez troskę i pewien rodzaj niewinności, który już nigdy nie powróci, a któremu poświęciłam cały poprzedni akapit. „Wracam ze szkoły, jutro też będę to robić, tak samo za rok i za dwa lata, nie spostrzegę się kiedy umrę, bo czas tak szybko płynie” – to nie będące dla dorosłego człowieka niczym odkrywczym stwierdzenie, dla dziesięcioletki zawierało rewolucyjne znaczenie. Owe odkrycie odchorowałam tuląc się do matki i pytając ją: mamo, co będzie jak będę w grobie?- wszak nikomu nie jest w smak *vanitas vanitatum et omnia vanitas*. Od tego momentu minęło kolejne dziesięć lat; już nie łkam mamie w pierś, ale czy jest mi łatwiej? Owszem, strach przed śmiercią da się ujarzmić, da się go stłumić, lecz kwestia zaakceptowania go to wyższy stopień wtajemniczenia, który nazwę etapem trzecim. Niektórzy nigdy do niego nie dorastają, jednak czy należy się temu tak bardzo dziwić w kulturze, w której starość, brzydota i przemijanie są tematem tabu? Nie muszę udowadniać tej tezy przykładami, gdyż chyba nawet ci o mniej lotnych umysłach widzą, że przemysły kosmetyczne i medycyna estetyczna przeżywają właśnie swój złoty wiek, a telewizja pokazuje same osoby młode i zdrowe, wykluczając część społeczeństwa, jakby zupełnie jej nie było. **Wszyscy w pewnym stopniu cierpimy na tanatofobię.** Nawet pogodzenie się ze śmiercią nie sprawia, że się jej nie lękamy. Józef K., postać wykreowana przez Kafkę w *Procesie*, choć poddaje się dobrowolnie wyrokowi, już z nożem w sercu mówi do siebie, że umiera „jak pies”, jednocześnie akceptując swoją śmierć i jej nie akceptując. Paradoksalne, że umieranie, choć wg Seneki *nie jest złem, a jedynie prawem obowiązującym cały rodzaj ludzki*, każdemu indywidualnie w chwili spełniania się wydaje się gwałtem na ludzkiej naturze, która dąży zawsze do tego, by chronić to życie jak najdłużej, niezależnie od wieku.

Pisząc o niewiedzy, jaka cechuje dzieci, użyłam wyrażenia „nieskalani śmiertelnością”. Jednakże czy nie rozsądniej byłoby nazwać ten stan pewnego rodzaju upośledzeniem? To, że coś jest przyjemniejsze i prostsze, nie świadczy o tym, że jest też lepsze; dlatego czy poczucie ulotności życia nie jest istotą człowieczeństwa? Dzięki niemu podejmujemy ryzyko, dzięki niemu dążymy do prokreacji i czerpiemy z niej radość, dzięki niemu doceniamy piękno chwil, których urok polega często głównie na tym, że nie mają szansy już się powtórzyć. To naturalny i najlepszy motywator do działania. Poza tym, krowa przeżuująca mleczkę na pastwisku nie myśli sobie: "jutro mnie zarzną, przerobią i wyślą do McDonald'sa jako kluczowy element Big Maców. O nie, jak ja nie chcę umierać!". Jako że zwierzęta nie dysponują umiejętnością abstrakcyjnego myślenia i nie potrafią przewidywać, nie zdają sobie sprawy z tego, że umrą, w związku z czym człowieka od zwierzęcia różni między innymi właśnie owa samowiedza. I chociaż zabrzmiałoby to niepoważnie i głupio, Staś o pewnych sprawach ma takie same pojęcie jak przywołana przeze mnie krowa. Pomimo że nieuchronność śmierci robi nam co jakiś czas bolesny zastrzyk w kręgosłup, wtaczając w nasze ciało mieszankę smutku, lęku i melancholii, człowiek nie byłby bez niej człowiekiem, ale zblazowaną istotą, przypominającą ludka z gry Lemmings, który idzie na oślep i choć ma przed sobą przepaść, nie potrafi się zatrzymać i bezmyślnie w nią wpada, nie robiąc wcześniej niczego wartościowego dla gry. Ja przed wpadnięciem proponuję wybudowanie kilku mostów.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Dominika289, dodano 13.10.2010 22:51

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).